

Krzysztof Dorosz: Sobór Trydencki powinien przyjąć dobre owoce Reformacji

Protestancka teologia krzyża, zapoczątkowana przez Lutra, wyrasta z bardzo podobnych zmagania z ciemnością, jakie przeżywał później św. Jan od Krzyża – pisze Krzysztof Dorosz, kontynuując korespondencję z Bartoszem Jastrzębskim na temat kryzysu naszej cywilizacji

Drogi Bartku,

Dzięki Ci za ciekawy list (*Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu*). W większości poruszonych przeze mnie spraw panuje między nami zgoda. Lecz nie we wszystkich; są także rozbieżności. Chciałbym od nich zacząć, bo to dla rozmowy ożywcze, oczyszcza pole dialogu i posuwa w kierunku prawdy.

Powiadasz, że winę za ucieczkę od Boga w kulturze europejskiej, „za Wielkie Zerwanie ponosi w znacznej mierze Reformacja”, a kluczowe znaczenie przypisujesz wystąpieniu Marcina Lutra. Przewidujesz jednocześnie, że się tu z Tobą w znacznej mierze nie zgodzę. Rzeczywiście, nie zgodzę.

Wystąpienie Lutra bowiem było wierzchołkiem góry lodowej, a handel odpustami tylko kroplą, która przepełniała kielich. Sam piszesz, że już w XV wieku Kościół pograżył się w wewnętrznym zamęcie i kryzysie. Niestety nie był to powierzchowny kryzys. Kościół stawał się coraz bardziej światową instytucją, jego książęta nieraz upodobniali się do możnowładców goniących za zyskiem i zaszczytami. Bezstronność papieżstwa już w XIII wieku stawała pod znakiem zapytania, duchowni tracili szacunek wiernych, choćby dlatego, że nieraz zdarzało im się płodzić dzieci. *Reformatio in capite et membris* (Reforma od stóp do głów) — rozlegał się okrzyk niemal w całej Europie w XIV i XV stuleciu. Szerzył się antyklerykalizm płynący nie jak dziś z niechęci wobec duchowieństwa czy pogardy wobec wiary, lecz z rozczarowania; wierni nieraz mieli poczucie, że księża nie byli w stanie sprostać ich oczekiwaniom. Nieraz obojętni wobec powierzonych im ludzkich dusz, uciekali gdzie pieprz rośnie przed zarazą, zostawiając na pastwę losu swoje parafie.

W takim to właśnie klimacie augustianin Marcin Luter przeżywał swoje zmagania nie tylko z surowym czy wręcz okrutnym Bogiem, skorym do wiecznego potępienia człowieka za najmniejsze i nawet nieświadomie popełniane grzechy. Luter, który ponoć wstąpił do zakonu, by walczyć z własnym grzechem, był zapewne człowiekiem szczególnie wrażliwym, lecz reprezentował religijność w owych czasach dość powszechną. Bardziej skrupulatny niż inni, bardziej spragniony czystości, znienawidził w końcu Boga i znalazł się w duchowym potrzasku. Wyzwolenie przyszło dopiero wtedy, gdy w Liście św. Pawła do Rzymian odkrył Boże miłosierdzie. Doznał ogromnej ulgi, a to doznanie, które nazwał paschalnym, zaowocowało słynną później formułą *simul justus et peccator*, czyli jednocześnie sprawiedliwy i grzesznik.

Gdybyśmy, żyli w idealnym świecie, katolicyzm powinien był po Soborze Trydenckim wchłonąć ewangelickie przesłanie, nie zaprzeczając w niczym sobie, protestantyzm natomiast powinien był na nowo odkryć istotę katolicyzmu. Tak się nie stało

Luter nie był bynajmniej odosobniony w swoich zmaganiach z ówczesną postacią chrześcijańskiej wiary. Reformy oczekiwało wielu ludzi, a zakon augustiański sprzyjał poszukiwaniom nowych dróg.

Wcześniej jeszcze

reformy pragnęli John Wycliffe i Jan Hus. Nic z niej nie wyszło, a Hus został spalony. Kilka stuleci później kardynał Newman zauważył, że gdyby Kościół wziął sobie do serca ich przesłanie i podjął stosowne kroki, nigdy nie doszłoby do Reformacji.

Rozłam chrześcijaństwa oczywiście przyniósł duchowości europejskiej poważne szkody. Na pewno byłoby lepiej, gdyby zamiast rozłamu nastąpiła odnowa i reforma. A kto ponosi winę? Dziś niepodobna jednoznacznie tego stwierdzić. Kościół — mówiąc delikatnie — nie kwapił się z rozważeniem argumentów Lutera. Kiedy polecono mu zaprzeć się swoich poglądów, odszedł. Odszedł w stronę opartej na Piśmie Świętym wiary, która zdawała mu się daleko bliższa istocie chrześcijaństwa niż przeniknięty duchem tego świata późnośredniowieczny Kościół. Odszedł wstecz — jak można sądzić — nie do przodu. Ernst Troeltsch, wybitny teolog protestancki przełomu XIX i XX wieku, powiada, że wczesny protestantyzm jest kontynuacją

średniowiecza. Nowożytność przyszła później. Jej ziarna zostały zasiane przez włoski renesans i naukową rewolucję, protestantyzm zaś nie tylko nie zwiastował jej rozwoju, lecz opóźnił jej rozkwit.

Gdybyśmy, Bartku, żyli w idealnym świecie, katolicyzm powinien był po Soborze Trydenckim wchłonąć ewangelickie przesłanie, nie zaprzeczając w niczym sobie, protestantyzm natomiast powinien był na nowo odkryć istotę katolicyzmu. Tak się nie stało. Nic w tym pewnie dziwnego; trudno oczekiwać od wielkich instytucji, które odsądzały się nawzajem od czci i wiary, by w swoim przeciwniku szukały dobrych stron. Lecz cóż dzisiaj broni katolikom i protestantom rozmawiać o łasce, grzechu, śmierci i zmartwychwstaniu, jeśli tylko mają dobrą wolę, otwartą głowę i niezatwardziane serce? Cóż może ich powstrzymać przed pogłębianiem w ten sposób własnej wiary, pod warunkiem, że nie ustąpią ani na krok z jej istoty, porzucając najwyżej jej prostoduszne naleciałości i rozbijając jej skamieliny, które jak ciężki łańcuch oplatają ich dusze? Bo przecież każda wiara jest w gruncie rzeczy trudna, a my ludzie upraszczamy ją i wypaczamy, ułatwiając sobie życie. Niestety ta odwieczna skłonność do upraszczania nieraz prowadzi nas ku bałwochwalstwu.

Chrześcijanie często są nieświadomi duchowej siły zawartej w autentycznych symbolach religijnych. Vestigia Dei zastępują racjonalnymi koncepcjami, moralnymi prawami i subiektywnymi emocjami. Pisałeś kiedyś, Bartku, że symbole i obrazy, których oczywiście więcej jest w katolicyzmie niż w protestantyzmie, to „szyfry transcendencji”, jak mawiał Karl Jaspers. Ależ tak. Lecz by z szyfrów czerpać sens, trzeba posiadać zdolność ich odczytania. A ta w naszym świecie zanika. Tym bardziej, że wyczucie duchowej siły symbolu to

rzecz niełatwa. Nieraz wymaga trudnego przygotowania: modlitwy, medytacji, ba, nawet cierpienia. Nie wystarczy rozum i skądinąd kompetentne analizy teologów i religioznawców.

Choć symbole wskazują na rzeczywistość transcendentną, a nawet w niej partycypują, są zarazem przedmiotami tego świata. Lecz gdy tracą zdolność przekraczania samych siebie, gdy tracą przejrzystość, stają się tylko przedmiotami tego świata. Promieniowanie transcendencji gaśnie i rzeczywistość, która pośredniczyła między niebem i ziemią, pogrąża się w immanencji. Człowiek oddaje wtedy cześć jedynie ziemskim rzeczywistościom, łudząc się, że czuje w nich siłę niebios. Religia zamyka się w skończoności. Reformacja była próbą przeciwstawienia się właśnie takiemu zamknięciu. Stąd nacisk na odległą transcendencję, który słusznie krytykujesz. Ale wiara chrześcijańska to zawsze chodzenie po linii między sprzecznościami. Bo jeśli zwrot ku dalekim niebiosom tworzy wizerunek odległego i nawet obojętnego Boga, koncentracja na Jego śladach na ziemi grozi idolatrią. Niebezpieczeństwo zamknięcia wiary w skończoności nigdy nas nie opuszcza i dlatego potrzebne jest nam stałe duchowe oczyszczenie.

*Wystąpienie Lutra było
wierzchołkiem góry lodowej, a
handel odpustami tylko
kroplą, która przepełniała
kielich. Kościół pogrążył się w
wewnętrznym zamęcie i
kryzysie*

Oczyszczenie
przybiera różne
formy, z których
bodaj najważniejsza
jest pokuta
rozumiana nie jako
kara za grzechy, lecz
jako metanoja, czyli
radikalna przemiana
umysłu i serca, jako

zwrot ku Bogu. Do oczyszczenia nieraz prowadzi także rozmowa, jeśli jest autentyczna i jeśli partnerzy dialogu przedkładają wiarę szukającą zrozumienia nad żarliwość własnych przekonań. Czy zatem dialog między katolikami i protestantami, intymny lub publiczny, nie daje szansy oczyszczenia?

Czy nie dotyczy to, Bartku, nas samych? W naszych rozmowach i w naszych listach nieraz pojawia się wątek wiary. Więc czyż my — Ty katolik, ja protestant — nie próbujemy, choćby na maleńką skalę, choćby bezwiednie, zasypać przepaści, jaka powstała między światem katolickim i protestanckim po okrzepnięciu Reformacji i Soborze Trydenckim? Bo czyż oba te światy nie są zanurzone w jednym wielkim świecie Chrystusowej Dobrej Nowiny? Czyż nie są różnymi ujęciami tej samej rzeczywistości? Protestancka teologia krzyża, na przykład, zapoczątkowana przez Lutra, wyrasta z bardzo podobnych zmagania z ciemnością, jakie przeżywał później św. Jan od Krzyża. Ta teologia uczy nas, że Boga możemy pojąć wówczas, gdy nasze doświadczenie nie odbiera żadnych sygnałów transcendencji, gdy świadomość pozbawiona jest wszelkich religijnych znaków. Kontemplacja Bożej chwały i majestatu z dala od Krzyża prowadzi zdaniem Lutra w ślepią uliczkę. Bóg bowiem nieraz jawi się tam, gdzie zawodzi rozum, gdzie błędzi doświadczenie mistyczne, gdzie uduchowanie staje się funta kłaków warte, gdzie w rytm religijnych ćwiczeń i harmonię dobrych uczynków wdziera się dysonans cierpienia.

Teologia krzyża niegdyś wiele mi dała. Napisałem pracę magisterską z Aldousa Huxley'a i byłem zapatrzony w doświadczenie mistyczne. Szukałem jasności, która — jak sobie wyobrażałem — miała rozwiązać

moje problemy z Bogiem i wiarą. Te poszukiwania okazały się daremne. Dopiero gdy uświadomiłem sobie, że Bóg nieraz pojawia się w ciemności, w mojej duszy zrobiło się jaśniej.

Teologia Krzyża to owoc wczesnego protestantyzmu, to nauka, która pod innymi nazwami i innymi postaciami istnieje oczywiście w katolicyzmie. Czyż może być obca każdemu chrześcijaninowi, który czuje duchową siłę wielkiego akordu śmierci i zmartwychwstania? Niestety późny protestantyzm nieraz dawał się uwieść nowoczesności — pod postacią już to nauki, już to idei postępu — i coraz bardziej się z nią splotał. Teologia Krzyża szła w niepamięć — na szczęście nie zawsze — a jej miejsce zajmowały wartości naszej cywilizacji. Transcendentny Bóg stawał się dobrotliwym monarchą konstytucyjnym, zdomowiał się w świecie i coraz bardziej tracił nimb tajemnicy. Zapraszany na salony, niewiele oczekiwał od ludzi i wymagał od nich minimum przyzwoitości. Jego królestwo stapiało się z osiągnięciami ludzkiej kultury i cywilizacji, opatrność z postępem. Nie był już wszechogarniającą rzeczywistością, lecz najwyżej źródłem moralnej powinności. Liberalny i tolerancyjny, wydawał się pozwalać ludziom na zamykanie nie tylko wiary, lecz i samego Siebie w ziemskiej skończoności. „Wieczność będzie niemiecka — oświadczył na początku pierwszej wojny światowej wybitny niemiecki teolog Friedrich Gogarten — i Bóg się w nas Niemcach objawi”.

Skandal! — chciałoby się zawołać, czysta idolatria. Zapewne protestantyzm, szczególnie w wieku XIX i XX, bardziej niż katolicyzm stawał na krawędzi narodowego bądź cywilizacyjnego bałwochwalstwa. Nie zapominajmy jednak, że osuwanie się w światowość przybraną w ten czy inny kostium to nieodłączny grzech każdej religii i każdej wiary.

*Wielkiemu Zerwaniu winne
jest przemożne pragnienie
całkowitego – materialnego i
duchowego –
samostanowienia człowieka
pobudzone przez
uwodzicielskie rojenia
renesansowego tytanizmu*

Podsumowując więc i
odpowiadając na
Twoją krytykę
Reformacji, powiem
tylko, że w moim
przekonaniu to nie
ona ponosi winę ze
Wielkie Zerwanie
więzi między
człowiekiem i
Bogiem. Winne jest
przemożne

pragnienie całkowitego – materialnego i duchowego –
samostanowienia człowieka pobudzone przez uwodzicielskie rojenia
renesansowego tytanizmu. W to pragnienie bez trudu przenikały
demoniczne moce, wszczepiając nam w duszę myśli i obrazy na wskroś
przeniknięte zabójczą substancją żądzы władzy i miłości własnej. Nie
jest zapewne przypadkiem, że legenda o pakcie z diabłem zawartym
przez doktora Faustusa cieszyła się sławą właśnie w okresie renesansu.
Europejskie elity zaczęły iść w ślady uczonego doktora, zastępując
teologię magią z okrzykiem *non serviam* na ustach. Protestantyzm zaś
ponosi winę o tyle, o ile wpisywał się w renesansowe, oświeceniowe,
nowoczesne i ponowoczesne samostanowienie człowieka. Niewinny
jest natomiast – śmiem twierdzić – w swej istocie, w której zawarta
jest głęboka świadomość suwerenności Boga, wyrażana
rozbrzmiewającą od kilku stuleci formułą *Soli Deo gloria*.

Bartek, rozpisałem się. Rzuciłeś mi wyzwanie, więc rozpisałem się o
Reformacji i protestantyzmie, a chciałem pisać o wolności, o jej
wielkim upadku w naszych czasach. Choć jedno z drugim się wiąże.

Niektórzy bowiem widzą źródło indywidualnej wolności i europejskiego liberalizmu w Reformacji. Inni wszelako, jak bardzo wybitny katolicki historyk Christopher Dawson, szukają tego źródła w średniowieczu. Mam wrażenie, że Dawson ma rację. Świadomość wolności narodziła się dużo wcześniej niż XVI wiek. Tyle że w kulturze chrześcijańskiej, a przedtem w antycznej, wolność osadzona była w wartościach; jej fundamentem były prawda, dobro i piękno, a w ostatecznej instancji Bóg. Dziś tymczasem zamieniła się w Wielkie Widzimi się, którego podstawą jest amor sui. O tym chciałem pisać, o tym z Tobą rozmawiać. Mam nadzieję, że będzie jeszcze po temu okazja w naszych kolejnych listach.

*Serdecznie Cię pozdrawiam
Krzysztof*

*Przeczytaj odpowiedź Bartosza Jastrzębskiego napisaną do Krzysztofa
Dorosza*

I część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą

Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu